№ 35. Warszawa, dnia 15 (27) Sierpnia 1891 r. Rok XXVII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGAWĘDKA.

Choćby człowiek nie chciał, to musi rozpocząć od tego, co mu najbardziej dokucza, więc od skargi na pogodę i to zamoczone, dżdżyste, brzydsze od jesieni lato; kiedy bowiem jesień ślamazarzy i chłodem dmucha, to jakoś tak to nie dokucza, bo się wie, że to jej prawo, jej natura, niemal obowiązek, przygotować świat do mroźnej zimy; ale i ona bywa łaskawszą, daje nam babie lato, daje niekiedy śliczne, pogodne, jakby wiosenne, dnie, do których teraz od kilku tygodni w tej porze roku, co ma być najpiękniejszą, nadarmo tęsknimy.

Co człowiekowi, warszawskiemu człowiekowi, jeszcze bardziej humor psuje i nerwy rozstraja, to przeświadczenie, że taka aura szczególniej panuje nad syrenim grodem i jego okolicami, bo podobno na prowincyi są całe przestrzenie, na których kropla deszczu nie spadła i przy zupełnie przyzwoitej pogodzie odbyły się żniwa i sprzęt zboża.

W Cesarstwie zaś, jak piszą, nieurodzaje tegoroczne miały za powód zbytnią suszę.

A więc my tylko skazani zostaliśmy na zamoczenie, na *spleen*, na katary, na powtórną edycyą influenzy i gospodarskie wyrywanie sobie czupryny, o ile się poprzednio nie wyłysiało.

W najważniejszej dla ziemian porze niebo uwzięło się wylewać codziennie strugi deszczu i zrzucać całe chmury na pola i łąki właśnie wtedy, gdy chodzi o to, aby jaknajwięcej, jaknajszybcej suchego zboża zwieźć do stodoły, wymłócić i wysłać zagranicę.

Od dzisiaj, to jest od Czwartku wstrzymano bowiem wywóz żyta, mąki żytniej i otrąb z granic całego państwa do czasu bliżej nieokreślonego.

W Niemczech zrobił się popłoch, rwetes, krętanina na wszystkie strony, kupcy i składnicy rzucili się do robienia jaknajwiększych zapasów przed tym fatalnym terminem a skutkiem tego była niepamiętna zwyżka cen zbożowych, ogromny popyt i znaczna, pośpieszna podaż ziarna na rynkach małych i wielkich.

Intendentura niemiecka, najbardziej dotknięta tą niespodzianką, postanowiła wojsko karmić bułkami pszennemi, zamiast razowca, na który mąki zbrakło; ale pruski dragon i meklemburski piechur niebardzo smakują w mdłem i delikatnem pieczywie, przyzwyczajeni do „komiśnego żytniaka,“ jakim dotychczas się żywili.

Gospodarze nasi zrobili wprawdzie niezły interes na tej kwestyi zbożowej, o ile zdążyli zebrać, wymłócić i zsypać w worki nowe żyto; kupcy prosili się, jak o łaskę, żeby im tylko towaru tego jaknajwięcej dostarczać, chcieli za wypożyczenie ziarna samego płacić po dwa ruble od korca, zobowiązując się w jesieni oddać pożyczkę w naturze z wdzięcznością.

Zawszeby to korzystniejsza dla nich była tranzakcya, niż kupowanie zboża teraz, przy tak wygórowanych cenach, za gotówkę.

Obok gospodarzy rolnych, letników na wszelakich willegiaturach, pacyentów u wód i na stacyach klimatycznych, wyrzekają na słotne lato... dyrektorowie teatrzyków ogródkowych w Warszawie. Fiziognomie tych panów przypominają męczenników, dla których wynaleziono osobną torturę: wlewania nieustannie zimnej wody za kołnierz.

Cały sezon tegoroczny dał się im tak we znaki, że go chyba długo popamiętają.

Niestety, nietylko deszcze ulewne i niepogody były fatalnością scen ogródkowych w roku bieżącym: aurze nieprzychylnej odpowiadał repertoar, za który warto-by było panów reżysserów i kierowników scenicznych trzymać na deszczu czterdzieści dni bez — wszystkiego.

Nie pamiętam tak lichego wyboru sztuk, takiego rozpanoszenia się i rozzuchwalenia miernoty na deskach ogródkowych, jak w tym roku.

Wystawiano nowości z tytułem „oryginalnych utworów“, których oryginalność polegała, nie w treści sztuki lub jej fakturze, ale w śmiałości autorów, wierzących, że na prawdę napisali dzieła godne blasku kinkietów i cierpliwości widzów.

W tem narzucaniu się literaturze, która przecież tak nizko u nas jeszcze nie stanęła, aby zasilać się miała niezdolnemi próbkami pierwszego lepszego pióra w ręku dyletantów wszelkiego talentu i bez powołania—co jest jeszcze więcej prócz naiwności?

W roku zeszłym mieliśmy przynajmniej sztuki Bałuckiego, Galasiewicza, Przybylskiego; pomiędzy wszelakiego kalibru „bombami“, dano nam dla zrównoważenia lichoty „Klub kawalerów“, „Ciarachów“, „Złote góry“, wyróżnił się mieszczański melodramat „Zły duch“ Kośmińskiego. Było to wynagrodzenie za zawody, doznawane na innych premierach; ale w roku bieżącym na ślepo, poomacku wybierano widocznie owe „nowości“, które zniżyły napowrót poziom sztuki i sceny ogródkowej, jakoś trochę przynajmniej w zeszłym sezonie podniesionej.

„Szwagrowie“ Dygasińskiego i „Nastusia“ Grabowskiego na deskach Eldorada stanowiły jedyne wyjątki pod względem roboty literackiej o reszcie lepiej nie wspominać.

Już to wogóle zawód literata domaga się u nas, naprawy. Garnie się do niego coraz liczniej tylko robocza czerń, szukająca chleba i zarobku, gotowa służyć piórem taksamo, jak się służy motyką, szydłem albo pałką, na obstalunek, od sztuki, —po-rzemieślniczemu lub po-kondotyersku.

Powstają z dnia na dzień liter aci i dziennikarze, o których wczoraj jeszcze nikt nie słyszał;

wciskają się do pierwszych rzędów, rozpierają łokciami i rozpoczynają „rżnięcie“ lub „gryzmolenie“.

Niekiedy, ale to rzadko, zdarza się tu jakaś zdolność niedouczona, niewykształcona, prawie zawsze zarozumiała a leniwa, zrezygnowana z góry na zmarnowanie się pod osłoną sztucznego pessymizmu i sceptycyzmu; ta staje się szkodliwą, zgryźliwą, rozkładową, idzie na usługi chwili bieżącej i małych interessów osobistych lub koteryjnych.

Korzysta z niej zwykle Moloch dziennikarstwa i miażdży ją po dłuższym lub krótszym przeciągu czasu.

Gdzie ci poeci urodzeni, z natchnienia, pisarze z powołania, literaci z zamiłowania, talenta z „Bożej łaski“, garnące się pod sztandar pracy i twórczości dla jakichś wyższych, szlachetniejszych celów, dla sławy, a choćby tylko ambicyi?.. gdzie ci szaleńcy, którzy pisali dla potomności, z miłością wielką i zapałem, z dobrą wiarą w swe powołanie, z czcią dla ideału, z poświęceniem siebie całego, z szacunkiem dla swego zawodu?..

Romantycy, idealiści, głupcy!.. nowe pokolenie przez ramię nie chce spojrzeć na nich z pogardliwym uśmiechem lekceważenia.

Oni jako kapłaństwo uważali poezyą, jako znak duchowego rycerstwa pióro, uczuwali święty dreszcz w chwilach tworzenia, byli dumni ze swej pisarskiej godności, jak z zaszczytu, jak z przywileju, którego niekażdy śmiertelnik mógł dostąpić,—uważali się za wybrańców.

A dziś?.. dzisiaj się to wszystko przeżyło, jak powiadają nowo-zaciężni rekruci literackiego cechu i dziennikarskiej armii; dzisiaj pisze się za kopiejki, pracuje dla chleba, tworzy z musu, walczy wbrew przekonaniom dla krzyku, nie czuje żadnego zadowolenia artysty, tylko znużenie rzemieślnika, śpieszącego z robotą na oznaczony termin i na targ.

Smutne to, ale, niestety, prawdziwe.

Nie mówię o wyjątkach, o talentach i pracownikach poważnych, poza normą i nad poziomem dzisiejszego piśmiennictwa stojących, ale o większości, o literackim tłumie, który się pomnaża jednostkami wykolejonemi z innych zawodów, ludźmi niedowarzonymi, umysłami spaczonemi, zdolnościami li tylko powierzchownemi; mówię o tych *literatach* i dziennikarzach z przypadku, którym wystarczyła do tego tytułu znajomość stawiania *liter* na papierze.

Niejednokrotnie na tem miejscu poruszałem tą sprawę, rozwijając zasadę, że obok talentów pisarskich potrzebne są nam charaktery piszących, indywidualności, któreby moralnie oddziaływały, na piśmiennictwo i dawały rękojmię, że z czystego, niezamąconego źródła płynie ta strawa, którą się karmi ogół czytelników drukowanego słowa.

Skarlałe, zdziczałe, chore drzewa nie mogą dawać dobrych, zdrowych i pożywnych owoców...

W numerze „Gazety warszawskiej“ z ubiegłej niedzieli znalazłem artykuł, dotykający jednej strony tej sprawy, ale strony bardzo poważnej i żywotnej, strony honoru i przyzwoitości tej części piśmiennictwa naszego, która ma być przedstawicielem i rzecznikiem opinii publicznej.

Odezwał się głos rozsądny w dzienniku, mającym wszelkie prawo przemawiania do rozumu i poczucia godności cechu pisarskiego. Najstarsza z gazet polskich uważała za stosowne „przypomnieć“ prassie warszawskiej obowiązki względem siebie i czytającego ogółu, a chociaż słowa jej zapewne nie zabrzmią długo w sercach, gdzie nie trwa myśl dłużej godziny, dobrze i uczciwie zrobiła, że przynajmniej zaprotestowała przeciw objawom korrupcyi, jakie coraz częściej w dziennikarstwie naszem dostrzegać się dają.

Autor, zestawiając dawniejszą prassę polską z dzisiejszą, powiada w dalszym ciągu:

„Do tego, by nasze dzienniki teraźniejsze całkowicie wzięły górę nad dawniejszemi, brak rzeczy nader ważnej: poczuwania się do obowiązku składania sobie rachunku z tego, co się pisze, a co będzie czytane przez tysiące. Słowo pisane to nie wiatr, to pół czynu a niekiedy cały czyn; wpływ jego może być mały, nieznaczny, ale jest i nie zginie: będzie czytane i rozważane i nie jednemu głęboko w umysł zapadnie, bo iluż jest takich, dla których dziennik stanowi jedyną strawę duchową?.. Trzeba tedy być wielce bacznym w szafowaniu słowa pisanego, co wprawdzie przy pośpiesznej pracy dziennikarskiej jest rzeczą trudną, ale dostępną przy doświadczeniu i panowaniu nad sobą. Myśl o dobru publicznem i świadomość, że co napiszesz, będzie czytane przez wielu różnego wieku i stanu, nie powinna opuszczać nigdy dziennikarza, jeżeli sumiennie chce wypełnić wzięty na siebie dobrowolnie obowiązek“...

„Rzecz osobliwa, — czytamy w innem miejscu tego samego artykułu—że przed laty, kiedy pracy dziennikarskiej wcale nie wynagradzano lub bardzo mało, nie bywało takiego jej lekceważenia, jak teraz; z polepszeniem się bytu powinnaby też wnieść zamiłowanie i szacunek dla swojego zawodu“.

Tak, powinnaby—ale niestety, dzieje się wręcz przeciwnie.

Zamiast zamiłowania wyrabia się jakaś rutyna rzemieślnicza, zamiast szacunku — lekceważenie wszystkiego, począwszy od języka i stylu a skończywszy na zasadach, ideach i osobistościach.

„Swojego przywileju nadużyli dziennikarze — mówi w zakończeniu autor „Przypomnienia“ — dziennikarze, niezdający sobie sprawy z obowiązków publicznych lub lekceważący swoje stanowisko. Mniejsza o to, że zaprzątają czytelników błahostkami, skoro jednocześnie nie pomijają spraw ważnych; gorsza to, że dla łatwego przypodobania się niewybrednym gustom stają się echem kryminalistyki i wszelkiego skandalu; jeszcze gorsza, że sprawy niezmiernie zawiłe i drażliwe, dotykające całych warstw, traktują zapalczywie, nie przebierając pomiędzy winnym a niewinnym, pomiędzy prawdą a potwarzą. Co zaś jest najsmutniejsze dla nas, jako dziennikarzy, to posługiwanie się słowem drukowanem do miotania obelg i rzucania podejrzeń na jednostki, do wywlekania szczegółów z życia prywatnego które powinno pozostać nietykalnem dla publicysty a obojętnem dla czytelników. Tego rodzaju nadużycie drukowanego słowa pozwala wręcz wątpić o uczciwości pióra“.

Nigdy u nas nie walczono z takim animuszem o teoryą, zasadę, ideę, przekonania, co teraz o względy i interessa osobiste; z jednej strony występuje hysteryczna drażliwość, z drugiej brutalna namiętność: napadają na siebie przy lada sposobności, wzywając na świadków i rozjemców gawiedź, żądną skandalu i widoku takiej bójki ulicznej.

Polemika dziennikarska oddawna przypomina walkę byków, ale nie rozprawę rycerską.

Brzydka, ale korzystna dla pewnych celów zasada: *calomniaze audacter*, stała się hasłem, głównym objawem żywotności, jedynym niemal celem i podstawą wziętości pewnych organów, dla których napaść osobista jest obowiązkowem zajęciem.

To szczęście, że nie wszyscy chcą odpowiadać na zaczepki i pozwalają „psu na księżyc szczekać“; inaczej doszlibyśmy do jeszcze bardziej gorszących ewentualności, po których nie pozostawałoby nic innego, jeno kij, albo rewolwer.

Każdy uczciwy człowiek i poważny literat czy publicysta, zgodzić się musi w tym względzie ze zdaniem „Gazety warszawskiej“:

„W taki sposób toczone spory nie powinny zupełniać szpalt dziennika, bo szkodzą dobrej sławie jego i całej prasy. Niech takie spory załatwia sąd honorowy czy kryminalny, a chociażby pistolet—to rzecz prywatna poważnionych.

„Dziennikarstwo ma inne cele i zadania“.

Poświęciłem nieco więcej miejsca tej sprawie, bo uważam ją za godniejszą uwagi od wielu faktów bieżącej chwili, a obchodzącą zarówno nas, najbliżej interessowanych, którzy honoru prassy pragnęlibyśmy strzedz, wszelkiemi siłami, jak i ogół czytelników światłych, cierpiących na równi z nami na widok poniżenia drukowanego słowa i godności prassy.

Od tego przykrego tematu przyjemnie jest odwrócić oczy w stronę, gdzie można spotkać dodatnie objawy poważnej pracy i dążeń do prawdziwego pożytku społecznego; orzeźwiającym i krzepiącym ducha jest np. widok instytucyi służącej celom nauki bez szukania reklamy i rozgłosu, w poczuciu jedynie obowiązków oświeconych jednostek względem ogółu.

Oto mam w ręku dziesiąte sprawozdanie z czynności komitetu zarządzającego kassą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia Józefa Mianowskiego.

Znajduję w niem wprawdzie na początku szczegół niepomyślny w wykazie liczby członków, bo uważam, że od lat kilku nieznacznie, ale stale zmniejsza się ich liczba, kiedy bowiem w roku 1888 było 753 rzeczywistych członków, w następnym mamy już tylko 668, a w zeszłym i ta liczba spadła o 36.

Natomiast zwiększyły się fundusze rozporządzalne i majątek kassy przez hojne zapisy, zatwierdzone przez władzę na korzyść instytucyi, o umożliwiło w roku 1890 wypłacenie zapomóg i pożyczek na cele naukowe i wydawnictwa w kwocie 15.229 rs. 43 kop., a umorzenie z dawniejszych zaległości rs. 2.261 kop. 17.

Ogólny obrót funduszów kassy w roku zeszłym w przychodzie i rozchodzie wynosił już około 29.000 rubli. Suma to poważna i świadcząca o pożyteczności instytucyi, rozpoczynającej dopiero dziesiąty rok istnienia swego i działalności.

Zważyć trzeba, iż jako zasługę jej poczytać należy nietylko pomoc pieniężną, dawaną jednostkom, pracującym na korzyść nauki, ale i w miarę możności zasiłki udzielane prawie wszystkim naszym wydawnictwom naukowym, któreby się żadną miarą o własnych dochodach i przy tak marnem poparciu ogółu utrzymać nie zdołały.

Taki „Pamiętnik fiziograficzny“ albo „Słownik geograficzny“, taka „Wisła“, takie „Prace matematyczno-fizyczne“, jak wiele innych zresztą wydawnictw, które naszej literaturze w danych warunkach prawdziwy zaszczyt przynoszą, zawdzięczają swoje istnienie li tylko ofiarności prywatnej, poświęceniu jednostek, które dają swą pracę swój czas, swą wiedzę darmo, inni zaś łożą na nakład z własnej kieszeni.

Konia z rzędem można przyrzec temu, ktoby znalazł u nas wydawcę na dzieło uczone, gotowego zaryzykować większy kapitał na książkę poważną, gruntownie opracowaną przez specyalnego badacza; żadna firma nie zdobędzie się na tę odwagę i na to poświęcenie, bo wie z góry, że musiałaby stracić.

Drukuje się też u nas głównie rzeczy lżejsze, belletrystykę, przekłady dzieł popularnych: to tylko, co na łatwy zbyt liczyć może i co ma widoki wyczerpania nakładu z tysiąca exemplarzy, choćby w lat kilka.

Niewesoła perspektywa dla ludzi wiedzy i nauki.

Można sobie nogi schodzić w Warszawie i nie znaleźć nakładcy na dzieło specyalne z dziedziny nauk ścisłych, albo przyrodniczych, albo filozoficznych, chyba się trafi do takiej instytucyi, jak Kassa Mianowskiego, albo też wyda własnym kosztem, jeżeli się na to środki posiada.

Ostateczności się stykają z sobą; równego losu z pracą umysłów badawczych pod względem wydawniczym doznają u nas twórcy fantazyi i natchnienia.

Taksamo, jak trudno znaleźć nakładcę na chemią, fizykę, matematykę, filozofią, studya historyczne większych rozmiarów i t. p. nie łatwo też wydać cały poemat, dramat, tragedyą, albo zbiorek poezyi, nawet autorom uznanym, mającym pewien rozgłos.

— To nie idzie, — odpowie krótko a przekonywająco każdy księgarz, a jeśli niekiedy wbrew przekonaniu i chęci zaryzykuje, to jedynie dla honoru firmy lub osobistych jakich względów.

Najbardziej poczytną rzeczą bywa jeszcze u nas powieść, ale i ta przechodzi w książkową formę przeważnie jako odbitka dla zmniejszenia kosztów wydawnictwa, którychby nakład nie pokrył, gdyby potrzeba było autorowi osobno zapłacić za rękopis według przyjętej normy od wiersza, a osobno łożyć na druk.

Jeden Sienkiewicz ze wszystkich polskich pisarzów (i pani Ćwierciakiewiczowa), biorą najwyższe wynagrodzenia za swoje prace, mniejwięcej na europejską miarę, chociaż przy takiej

poczytności, jaką ma autor „Bez dogmatu“ i wziętości, jaką się cieszy nasza wyrocznia kulinarna w „365-ciu obiadach“, możnaby zbijać miliony.

U nas zaledwie z tego żyje się dostatnio, a o zbieraniu majątku żaden autor polski marzyć nawet nie może.

Jedyny wyjątek stanowił nieboszczyk Kraszewski, ale też trzeba było mieć jego łatwość pisania, jego płodność twórczą, jego szeroką popularność i trzeba było wydrukować całą bibliotekę dzieł wszelkiego rodzaju.

I to jeszcze mogło popłacać przed laty trzydziestu, kiedy wielki tytan pracy i kolos piśmiennictwa naszego miał prawie wyłączność pióra w swoim rodzaju bez współzawodnictwa.

Żyjemy wszyscy w epoce, w której wogóle majątki się traci na rozmaitych polach, ale nie zbiera fortuny, jak to bywało dawniej; patrzymy tak często na upadki, na rozbijanie się większych i mniejszych majątków, ale jakże rzadko zdarza się nam widzieć owych dorobkiewiczów dawnej daty, którzy zaczynali z małym kapitałem a dochodzili do milionów!

Wielkie domy, wielkie rody, wielkie fortuny upadają, a kto się wznosi?...

Nie mam dziś szczęścia do wyboru tematów. Co prawda, niewiele skorzystałem z faktów ubiegłych kilku tygodni, bo też zawsze jeszcze martwy sezon trzyma Warszawę w drzemce i w sennem usposobieniu; za tydzień dopiero ożywi się trochę miasto napływem młodzieży szkolnej i powrotem „letników“, którym tegoroczne wakacye wcale się nie udały.

Przypuszczam, iż przyszłą pogawędkę będę mógł zapełnić materyałem żywszym, gorętszym i z bieżącą chwilą związanym, a tymczasem pozwólcie mi powitać tych wszystkich, co wracają na bruk warszawski do zajęć i pracy po letnim wypoczynku — i odłożyć pióro na dzisiaj.

Quis.

GARBUSKA.

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg).

XIV.

„Przyjeżdżam do was pojutrze“.

Taki telegram otrzymali Łatkiewiczowie od syna po długiem, blizko półtora roku trwającem milczeniu. Przez te półtora roku napisali do niego coś sześć, czy siedm listów, i na żaden nie odebrali odpowiedzi, co ich wprawiło w rozpacz i zdziwienie, co się z nim stało: czy umarł, czy wyjechał, czy zapomniał o nich. Przypuszczenie o wyjeździe było najprawdopodobniejsze tembardziej, że jeden list rekommendowany, wysłany do niego, po paru miesiącach powrócił ze stemplami najrozmaitszych poczt. Widocznie list wysłany napróżno do Niemiec, potem do Włoch, aż do Neapolu, we wszystkie te miejsca, w których zdaje się, przebywał czas jakiś; wszędzie przychodził zapewne zapóźno, już po jego wyjeździe, aż w końcu stracano ślad, i korrespondencya wracała do tych, co ją wysłali.

Rodzice gubili się w domysłach, Anielcia najgorsze robiła przypuszczenia, bo ostatni list, jaki miała od niego bardzo niepomyślne zawierała wiadomości o stanie jego zdrowia i był poprostu desperacki: milczenie nie rokowało nic dobrego. Z trwogą wyczekiwała, że lada dzień dostanie wiadomość o jego śmierci. Aż tu naraz telegram doniósł im, że żyje i że przyjeżdża do nich. Anielcia odetchnęła swobodniej i ucieszyła się bardzo, ale więcej może jeszcze ucieszyli się rodzice, bo przyjazd syna był zarazem ich tryumfem, uwolnieniem z niewoli babilońskiej, jak nazywali swój pobyt u córki. Cieszyli, się że będą wreszcie mogli obejść się bez jej pomocy, która im, jak mówili kością w gardle już stanęła, bokiem wyłaziła. Przyjmowali ją z konieczności, bo nie mieli nic lepszego do wyboru, ale ich to zawsze upokarzało i gryzło, że musieli teraz przyjmować łaski od tej, która całe życie mieli za nic. Przyjazd syna uwalniał ich od tej smutnej konieczności, no, bo nie wątpili, że przyjeżdża po to tylko, aby ich zabrać ze sobą, o czem mu natrącali nieraz w listach.

Cieszyli się na myśl o tej chwili, gdy będą mogli podziękować córce za wszystkie dobrodziejstwa które od niej przyjmować byli zmuszeni i powiedzieć jej: „Nie potrzebujemy już więcej twojej łaski.“ Matka już przed przyjazdem syna nie mogła wytrzymać, żeby córce parę razy nie powiedzieć: „No, już teraz nie będziemy ci zawadzać, nie będziesz potrzebowała kłopotać się o nas: spadnie ci ciężar z głowy. Jeszcze tylko parę dni.“

Te dwa dni niezmiernie długiemi im się wydawały; nie mogli doczekać się ich końca, skracali je sobie przygotowaniem pokoiku dla syna i robieniem projektów na przyszłość.

Nareszcie nadszedł dzień oczekiwany. Łatkiewicze na godzinę przed przyjściem pociągu byli już na dworcu kolei, dostali się na peron aby prędzej mogli zobaczyć i uściskać syna. Anielcia ze swemi dwiema siostrzeniczkami była tam także. I ona z bijącem gwałtownie sercem wyczekiwała brata, którego tyle lat nie widziała.

Gdy pociąg sapiąc ciężko, jakby zmęczony po długiej drodze, wjechał z szumem i hałasem na stacyą, oczy całej rodziny Łatkiewiczów niespokojnie biegały od okna wagonów do drzwiczek otwierających się jedne po drugich, szukając znajomych sobie rysów, ale napróżno. Łatkiewicz stary, przeciskając się przez tłok, biegał od drzwiczek do drzwiczek zaglądał do wnętrza, lecz nigdzie syna nie znalazł. Już na peronie zaczęło się przerzedzać, pusto się powoli robiło, a Karola jak nie było, tak nie było

Rodzina cała, rozpierzchnięta przed chwilą, skupiła się teraz znowu w gromadkę i jedno drugie pytało:

— No cóż? Niéma?

— Niéma nigdzie —odpowiedział ojciec, wzruszając ramionami.

— Ależ jestem, jestem!—odezwał się jakiś za chrypły głos za nimi. — Cóż to? nie poznajecie mnie.

Obejrzeli się i osłupieli z przerażenia, bo za nimi stał, nie człowiek, ale cień człowieka, szkielet prawie, na którym ubranie wisiało, jak na drewnianem wieszadle, a oczy czarne, schowane głęboko w sinych dołach, miały jakiś grobowy, szklany połysk.

Widząc przerażenie rodziny, skrzywił mizerną twarz swoję przykrym uśmiechem i rzekł wyszczerzając w uśmiechu rzadkie i zupełnie zepsute zęby:

— A to mnie ładnie witacie!

Siostrzenice pierwsze oswoiły się z tym strasznym widokiem chorego, bo go nigdy przedtem zdrowym nie widziały, nie znały i pocałowały go w rękę z polecenia Anielci; ona także zbliżyła się do niego i, usiłując przyjaznym uśmiechem zamaskować przykre wrażenie, jakie na niej zrobił widok chorego brata, podała mu rękę na powitanie.

Tylko ojciec nie mógł się oswoić z tym widokiem, ani zapanować nad przykrem uczuciem, jakie go ogarnęło, i zapytał drżącym głosem:

— Karol, bój się Boga, co się z tobą stało?

— Jak to? co się stało? Alboż nie widzicie? Przecież to dość czytelne, co tu napisano — rzekł sarkastycznie, wskazując na twarz.

— Tyś chory?—dopytywała matka.

— To mało powiedzieć: „chory“ — umierający, trup chodzący: to najwłaściwsza dla mnie nazwa.

— Co tobie? Karolu!

— Ba, chcecie żebym ja wam tu zaraz, tak na poczekaniu, wyłożył jak z katedry to, nad czem lekarze konsylia robili i nie mogli się zgodzić na jedno! Będziemy mieli jeszcze czas na to, nie bójcie się, bo ja nie zaraz umrę; a tymczasem byłoby może najwłaściwiej wsiąść w dorożkę i pojechać do domu, bo tu przecież nocować nie będziemy, a ja ledwie na nogach się trzymam.

Sarkastyczna ta wymówka ocuciła rodzinę z niemego odrętwienia, w jakie ją pogrążył widok przybyłego. Wnet Anielcia zaprowadziła go do fiakra i pojechała z nim do domu, a rodzice odebrawszy jego rzeczy, wsiedli do drugiej dorożki i pojechali za nimi, nie mówiąc nic ze sobą przez drogę, bo widok syna który wyglądał już jak nieboszczyk, zniszczył odrazu wszystkie ich nadzieje. Nie śmieli teraz myśleć o swojej przyszłości, o niczem i siedzieli w powozie przygnębieni, smutni, zrozpaczeni.

Gdy przybyli do domu dowiedzieli się od Anielci, że chory zmęczony podróżą usnął i prosił, żeby go nie budzono, gdyż potrzebuje wypoczynku.

Rzeczywiście musiał bardzo potrzebować tego wypoczynku, bo spał długo, blizko pół dnia i noc i obudził się dopiero nad ranem. Rodzice jeszcze spali. Anielka pierwsza przyszła go powitać i zapytać: co będzie pił?

— Lepiej ci, bracie?—spytała uradowana, widząc go trochę lepiej wyglądającego.

— Tak, o ile ja mogę się mieć lepiej.

— Cóż tobie właściwie jest, braciszku?— spytała pełna troskliwości i współczucia.

— Co cię to obchodzi? —odparł szorstko, opryskliwie.—Na co ci to wiedzieć, czy ta choroba nazywa się tabes, czy tuberkuły, czy ta czy owa, zawsze koniec będzie jednaki. Chciałem wam oszczędzić tego kłopotu — mówił dalej z cynicznym spokojem i obojętnością—oszczędzić wydatków na chorobę, pogrzeb i dlatego nie zgłaszałem się do was. Leczyłem się, jeździłem po Meranach, Gleichenbergach, stacyach klimatycznych, dopóki było za co. Gdy choroba wypróżniła mi pugilares i zostało zaledwie tyle, żeby mnie było za co pochować, kupiłem rewolwer, żeby się to prędzej skończyło.

— Bracie! — zawołała z boleścią i wyrzutem Anielcia.

— Nie było przecież innego wyboru. Pracować nie mogłem, żyć nie było za co, ciężarem nikomu być nie chciałem: więc trzeba było skończyć. Obrałem sobie Wiedeń na miejsce egzekucyi, a specyalnie jeden z podrzędniejszych hotelików i, nie namyślając się długo, ledwie tam przybyłem, zamknąłem drzwi, popisałem listy— do ciebie także był tam jeden—i zabrałem się do wykonania mego zamiaru; ale zaledwie dotknąłem rewolweru, który miał koniec położyć memu życiu, taka mnie jakaś dziwna trwoga opanowała że nie miałem odwagi strzelić. Poprostu stchórzyłem:

— Dziękuj bracie, Bogu, że ci nie pozwolił popełnić tak strasznego grzechu.

— Za co mam dziękować? że przewlokę jeszcze to nędzne moje życie, które się psu na budę nie zda, o parę miesięcy? Co z tego komu przyjdzie? Chyba doktorom, że wezmą jeszcze z kilkadziesiąt papierków od was, bo nie odemnie, gdyż jestem goły, jak święty turecki. Umrzeć nie mogę, żyć nie mam z czego: cóż miałem robić? Musiałem zdjąć pychę z serca i zatelegrafowałem do was. Słyszałem, że wam nieźle się teraz powodzi, więc przyjechałem. Jeżeliby to był za wielki ciężar dla was, to oddajcie mnie do dobroczynności, do szpitala, gdzie chcecie, wszystko mi jedno; gdzie umrzeć, byleby umrzeć.

Mówił to zdesperowany, zgryziony, w tonie jego mowy znać było, ile go to kosztowało, że musiał uciekać się do łaski rodziny, ale nic innego mu nie pozostawało, gdy nie miał odwagi odebrać sobie życia.

Anielcia pocieszała go jak mogła i umiała, zapewniała go, że żadnym ciężarem nie będzie w domu, że owszem rodzina cała będzie się czuła uszczęśliwioną, mając go znowu pośród siebie; że nie powinien wątpić o polepszenie, bo doktorzy nie są nieomylni, a pan Bóg wiele może, przytaczała mu przykłady różnych cudownych polepszeń tam, gdzie już doktorzy wszelką stracili nadzieję. Słuchał jej z drwiącym uśmiechem i niedowierzeniem, a jednak z tego, co mu powiedziała, jakaś odrobina nadziei została przecież w jego sercu i uczuł się jakoś silniejszym na duchu i na-

wet fizycznie pokrzepionym nieco, zaraz w pierwszych tygodniach pobytu w domu. Taką odwagą umiała go natchnąć garbuska. Gdy ona była przy nim, czuł się jakoś rzeźwiejszym, odważniejszym a co nadewszystko spokojniejszym; to też pod rozmaitemi pozorami co chwila przywoływał ją do siebie. Najwięcej cieszył się w Niedzielę, bo wtedy ona wolna od pracy, po kilka godzin być mogła przy nim, to rozmawiając z nim, to czytając mu coś.

Były to jak dla niego, rzeczy nieraz nudne, bo książki najczęściej treści religijnej lub powieści moralne, stosowniejsze dla dzieci, niż dla niego, mimo to słuchał uważnie, bo sam już głos czytającej wprawiał go w stan błogiego jakiegoś spokoju, w którym było mu tak dobrze, że radby był jaknajdłużej przeciągnąć te chwile. Gdy zmęczona przestawała czytać lub odchodziła, doznawał uczucia smutku i osamotnienia. Sam sobie się dziwił, jak ta niepozorna, niekształtna istotka ma wielki wpływ na niego, jak każde dotknięcie jej, każde słowo działa uspokajająco, łagodząco, jak dotknięcie magnetyzera. Lubił także i Piotra widzieć przy swoim łóżku. Prosty ten człowiek nie umiał rozmawiać z takim panem jak Karol, a gdy mówił, to niezdarnie, brakowało mu słów, wikłał się, jąkał, powtarzał, nie mogąc się wygadać; a jednak Karol lubił go słuchać, lubił go nawet wtedy, gdy sie dział przy nim tylko i nic nie mówił, lubił go zaś dlatego, że odczuwał w nim naturę szlachetną, choć prostą, a może dla tego, że Piotr jeżeli mówił kiedy, to mówił prawie zawsze tylko o Anielci, bo to był jego ulubiony przedmiot, niewyczerpany i co dziwniejsza, że mówiąc o niej, stawał się wymowniejszym. Od niego Karol dowiedział się cośkolwiek o siostrze, której dotąd właściwie nie znał wcale, żyjąc tak mało z nią razem, chowając się przeważnie za domem. Im więcej słyszał o niej teraz, tem bardziej rozumiał, dlaczego miał dla niej tyle sympatyi. Zacna i pełna uczucia jej dusza była owym magnesem, który pociągał ku niej, a Piotr umiał o niej tak mówić, że mimowoli zapał jego udzielał się Karolowi. Obaj byli w nieustającej adoracyi dla tej poczciwej garbuski.

— Wiesz ty, Anielciu — mówił jednego dnia Karol — może ty i miałaś słuszność, mówiąc mi kiedyś, że powinienem dziękować Bogu, iż mi nie dał zginąć tam w Wiedniu. Gdybym był miał odwagę w łeb sobie palnąć, nie byłbym poznał ciebie. A to przecież jest wielki zysk wiedzieć, że są jeszcze takie czyste dusze, takie uczciwe kobieciny na świecie. Gdybym ja był wiedział o tem wcześniej, gdybym był miał taką, może inaczej poszłoby mi życie, może dziś nie leżałbym, jak Łazarz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWINY PARYZKIE.

Pomnikomania. — Lafontaine i Danton. — Legendy o wielkich ludziach. — „Dii minores“. — Każdy ma swego świętego. — Pomnik dla Wiktora Hugo w Panteonie. — Brak prostoty.—Salon na Polu Marsowem.—Artyści Polscy.— Zamknięcie. — Bilans. — Katastrofa w S-t Mandé. — Okropne szczegóły. — Liczba ofiar wypadku. — Pani de Chambrun, — jej śmierć, — szczegóły jej oryginalnej postaci. — Sławne przyjęcia muzykalne w jej pałacu. — Nowe szkoły literackie we Francyi. — „Dekadenci“. — „Independenci“— ich przeglądy i pissma.

W Sierpniu 1891 r.

Prawie dwa razy na miesiąc, widzimy tutaj nowy pomnik wznoszący się na placu lub w ogrodzie publicznym, na rogu pierwszej większej ulicy — tak, że się spodziewają mieć taką inauguracyą przynajmniej co tydzień. Wielkich ludzi, chwała Bogu, nie braknie!

A! wielcy ludzie. — Ileż-to razy myli się, zaślepia, potomność, tak dobrze, jak i współcześni, co do wartości wybranych przez siebie ulubieńców! Nie mam wszakże nic do zarzucenia tej czci, oddawanej choćby przez pomyłkę nawet, bo przynajmniej rzeźbiarze nie tracą czasu i mają się czem popisać. Przytem, powstaje zaraz legenda o znakomitym mężu — i daje równowagę, może niezbędną, temu duchowi zbyt ostrej krytyki, który niszczy wszystko!

Co do pomników zresztą, wzniesionych tu w dniach ostatnich, niéma co zarzucić hołdowi oddanemu pamięci La Fontaine'a. Może ten hołd nawet przyszedł zapóźno dla takiego bajarza, jakim był ten wytworny pisarz. Postawiono mu pomnik, tam, we wspaniałej alei, wśród zielonych wirydarzy ulubionego Passy; wspomniano przytem, że on tak lubił te piękne gaje, i sam wybrałby był tu miejsce na swój pomnik.

Być może! — ale jakkolwiekbądź, czy kochał on tak bardzo naturę, jak powiada legenda, czy nie, — jest to wielki artysta w swoim rodzaju. Ów wrzekomy *Bonhomme* legendy był w rzeczywistości człowiekiem wyrafinowanych uczuć, dalekim od tej prostoty sielankowej, którą mu chcą niektórzy narzucić. Był on nadewszystko i prawie wyłącznie literatem w najlepszem tego wyrazu znaczeniu. Zamiłowany w wytwornej gawędzie, która płynęła u niego, jak z pełnego zdroju—oddany był ciągle studyom pisarzów starożytnych lub z szesnastego wieku. Dlatego dziś jeszcze tak pięknym jest język jego bajek i powiastek. Upodobanie w nim znajdują bardziej ludzie posunięci już w lata, rozczarowani do świata, aniżeli dzieci, które się uczą jego bajek na pamięć—i jakby za karę.

Artysta, którego ma w sobie Lafontaine, jest tak potężny, iż mu potomni nigdy nie zdołają oddać czci dostatecznej, a piękny pomnik, który mu postawiono obecnie, nie może ani zadziwić, ani zmartwić nikogo — prócz skrajnych łepaków, którym nie przystaje jakoś do miary.

Niezawsze tak jest jednakże. Bo oto kiedy chodziło o postawienie posągu Dantona przy Bulwarze S-t Germain, musiano przepisać pewne warunki — musiano bowiem bronić pamięci tego trybuna wobec oskarżeń, jakie miotano nawet z mownicy republikańskiego senatu. Nie tu miejsce roztrząsać, kto ma słuszność; — zaznaczam tylko, że posąg nie stanął bez oppozycyi, nawet bardzo gwałtownej. A jeśli tak się stało co do Dantona, który był stosunkowo umiarkowanym, wśród tych gwałtowników wielkiej Rewolucyi Francuzkiej, cóż będzie, kiedy przyjdzie się rozprawić z Robespierrem, o którym zagadują już w Radzie miejskiej?

Ale i Robespierre nie zaspakaja już apetytu posągowego wszechmocnej lewicy. Od bogów wyższych zstępujemy powoli do *Dii minores* rewolucyi — krąży już lista ofiar na pomnik dla Tallien'a. Po nim jest już cały szereg wielkich zapomnianych ludzi. Pokazuje się zresztą, że ów Tallien, terrorysta dla jednych, Termidoryanin dla innych, nie był złym człowiekiem — podobnie jak Barras, który był zdolniejszy od niego... Miał pewną fortunę, stracił ją w czasie rewolucyi — i nie lepiej mu poszło z żoną, niż z urzędem za cesarstwa. Tak straciwszy wszystko, umarł w ostatniej nędzy.

Ale mówiąc o pomnikach wielkich ludzi, nie zapominajmy o pomniku, który ma być wzniesiony w Panteonie na grobie Wiktora Hugo. P. Rodin, rzeźbiarz, któremu powierzone zostało to dzieło, i który już był przedstawił projekt grobowca przyjął uwagi, które czyniono mu ze strony umyślnej kommissyi, i przerobił swój pierwotny pomysł. Ten, który ukończył właśnie, przedstawia piękną i uderzającą swym ogromem całość.

Wyobraźcie sobie olbrzymi monolit, coś jakby odłam skały, o którą rozbijają się wzburzone fale oceanu. W połowie wysokości stoi Wiktor Hugo, oparty o głaz i potężną dłonią zdaje się kruszyć jej odłam. Ponad głową poety z rozwiniętemi skrzydły unosi się geniusz i otwartą ręką wskazuje na czoło. Możnaby zrobić ten zarzut artyście, że postać poety jest jakby stracona wśród zbytku otaczających go szczegółów. Jest to bardziej uosobienie jego dzieła, niźli posągowa postać wielkiego mistrza.

Dziennik „Le Temps“ tak tłómaczy pojęcie artysty: „To, co stanowi prawdziwą nowość tego dzieła rzeźby i jego trwałość, to ta grupa trzech niewiast, którą widzimy u stóp poety. Umieszczone na falach, które się piętrzą u podstawy monolitu—i jakby pchnięte naprzód, idą naprzeciw Wiktora Hugo, w poważnym i dobrze oddanym ruchu. Wszystkie trzy się unoszą na wierzchołkach fali; kiedy jedna z nich się oddala, aby iść w odległe strony głosić chwałę poety, dwie pozostałe patrzą nań z umiejętnem uwielbieniem. Ta, która po prawej stronie pomnika klęczy wśrod fali, zwraca swe oblicze ku poecie; ta zaś, która jest naprzeciw pomnika, opiera się plecami o fale, a jej wyciągnięte ramiona oplatają obie jej siostrzyce, które, jak ona, są tu symbolem głosów od morza“.

Jak mówiłem, piękne to jest dzieło. Jedno co mu zarzucić można, to zbytek allegoryi i nawał szczegółów, w których znika prawie sam człowiek.

Mówiąc o rzeczach artystycznych, nie zapominajmy tu zapisać na kartach tej kroniki, że jeszcze 15 Lipca wieczorem zamknięty został salon wystawy na Polu Marsowem. Delegacya Towarzystwa narodowego Sztuk Pięknych, zgromadziła się 16 go Lipca, aby urządzić bilans swoich czynności. Wypadek udowodnił, że wystawa po raz drugi zamknięta została z pełnem powodzeniem. Dochód, który w roku 1890 wynosił 172.445 fr., dosięgnął w tym roku 212.740 fr., to jest z przewyżką 40.295 franków.

Te liczby mają przekonywającą wymowę.

A więc można dziś powiedzieć, że salon Pola Marsowego przyjęty został przez publiczność paryzką przyjaźnie. Dzięki zyskom, stowarzyszenie mogło zadośćuczynić znacznym wydatkom wywołanym potrzebą odpowiedniego urządzenia lokalu, a szczególnie przez zmiany w salach poświęconych malarstwu i w ogrodzie, gdzie się mieściły rzeźby. Jak w roku zeszłym, tak i w bieżącym rozdano stypendya zachęty do pracy.

Artyści polscy na tej wystawie, chociaż nieliczni, odznaczyli się, jak zwykle, prawdziwemi talentami. Wystąpili: P. P. Axentowicz (portret p. Ostrowskiego), Gierymski (Żydzi na Nowy Rok, Ceremonia nad Wisłą), Karbowski (Obrazy dekoracyjne do Ratusza w Nogent-sur-Marne) Michalski (Portret Pani F...), panna Dybowska (Maki i kwiaty polne, akwarella).

Kiedy tak Paryż, oddany przyjemnościom i sztukom—całą piersią oddycha swobodnie i marzy o niebieskich migdałach — nagle, jakby uderzenie piorunu, budzi go z tej półsennej, półrzeczywistej mrzonki, i powiada mu ponure: *Memento mori!*

W Niedzielę wieczorem d. 26-go Lipca, na dworcu w Saint Mandé (kolej z Paryża do Vincennes) stała się jedna z najgroźniejszych katastrof, jakie się wydarzyły na drogach żelaznych we Francyi.

Jak wszystkie drogi żelazne w okolicy Paryża—nazywają to tutaj „La Banlieue“—droga do Vincennes jest zwykle, a szczególnie w Niedziele i święta, przepełniona podróżnymi. Ztąd nadzwyczajne pociągi w ustawicznym ruchu, które regularnie wyjeżdżają co 5 minut, jeden po drugim, a zdarza się często, że i to jeszcze wystarcza, i dodają pociągi extra-nadzwyczajne, tak, iż wszystkie w biegu tworzą jednę linią, z bardzo małemi przerwami, stykając się prawie ze sobą.

Tak się właśnie stało w Niedzielę 26-go Lipca. Po pociągu zwyczajnym N-r 116—sformowanym na dworcu w Joinville, o godzinie 8 i minut 55 wieczorem, zawierającym 23 wagony—puszczono pociąg N-r 116 D, złożony z 16 wagonów, — obadwa przepełnione pasażerami.

O godzinie 9 i minut 11 pociąg N-r 116 przystanął i zatrzymał się na stacyi Saint-Mandé. Tu znowu liczni pasażerowie czekali, i za przybyciem pociągu ruszyli gwałtownie szturmem, aby zapełnić rzadkie już wolne miejsca. Jeden z tych pasażerów, z biletem 2-ej klassy, wsiadł do wagonu 1-ej klassy z żoną i synem, ale był to przedział przeznaczony dla kobiet. Jedna z dwóch

pań, które znajdowały się w tym przedziale, zauważyła cierpko nowo - przybyłym, że podług regulaminu nie mieli prawa wsiadać do przedziału wyznaczonego dla samych kobiet. Jegomość przybyły oburknął się, że mniejsza o regulamin w takich jak ta okolicznościach a raz wsiadłszy już nie ustąpi. Pani wezwała konduktora pociągu aby intruza wyprosił za drzwi — a gdy ten na wezwanie konduktora odpowiedział odmownie, officyalista wezwał zawiadowcę... Nikt nie przewidywał, nie domyślał się, domyśleć się nie mógł, doniosłości tego opóźnienia. Pociąg, według zwyczaju, z tyłu miał czerwone sygnały wzbraniające przystępu, a nawet nakazujące zatrzymanie się każdemu innemu pociągowi zanim dążącemu. Gdy tak ów jegomość ze służbą kolejową zacięte boje stacza, pociąg N-r 111 D, którego maszynista spodziewał się, według zwykłego rachunku, mieć wolną i otwartą drogę, wpadł w całym pędzie, zgruchotał furgon bagażowy zamykający pociąg N-r 116 — a ten z kolei zdruzgotał dwa pierwsze po nim wagony.

Te dwa wagony były to właśnie wagony z galeryą na wierzchu; w każdym znajdowało się 70 do 80 osób, może nawet więcej, bo w te dni świąteczne napływ podróżnych jest zawsze tak wielki, że pełne ich są, nie tylko miejsca zwykłe, — ale platformy i schodki wagonów.

Można sobie wystawić tumult, przestrach i oburzenie, skoro się to stało, tembardziej, że pociągi oświetlone były gazem zapomocą przyrządów przenośnych. W zgruchotanych wagonach wybuchnął pożar. Katastrofa była okropną.

Urządzenie pomocy i ratunku natychmiast było niepodobieństwem ze względu na gwałtowność i rozmiary wypadku. Jakie dwa lub trzy tysiące ludzi rozbiegło się na wszystkie strony—gnani przestrachem, zawalili płaszczyznę dworca, wdrapywali się na wał kolejowy, popychając się wzajemnie, krzycząc gwałtu wniebogłosy. Byłto tłok i rozgardyasz niewysłowiony.

Na domiar nieszczęścia jeden ze słupów telegraficznych zwalony, pociągnął za sobą druty, które, plącząc się w nieładzie, zatamowały wszelką kommunikacyą z Paryżem zapomocą telegrafu.

Przecież po chwili zdołano się rozpatrzeć, uspokoić poniekąd i poznać prawdziwy stan rzeczy. Straże ogniowe z S-t Mandé i Vincennes przybiegły na ratunek, jak również żołnierze 29-go batalionu strzelców pieszych, kwaterujących w tej okolicy. Przytłumiono natychmiast pożar, i wówczas dopiero zdołano wydzielić z całej massy zgruchotane powozy pociągu. Pokaleczonych odesłano do wojskowego szpitala w Vincennes, który, na szczęście, znajdował się bardzo blizko miejsca katastrofy. Trochę później odstawiano jeszcze powozami ratunkowemi (*Voitures des ambulances urbaines*) do szpitala Świętego Antoniego w Paryżu — a nakoniec pociągi ratunkowe, których zdołano zażądać z Paryża, przybyły na miejsce i zabrały resztę ocalałych podróżnych i tych, co byli lekko bardzo ranni albo kontuzyonowani tylko.

Zmarłych złożono w jednej z sal dworca, tak, aby krewni i znajomi z łatwością rozpoznać ich mogli.

W początku trudno było zdać sobie rachunek z liczby ofiar tej katastrofy—pierwsze wiadomości zebrane przez dzienniki zdawały się zapowiadać ogromną katastrofę. Pokazało się w końcu, że jakkolwiek wypadek był straszliwy, nie porwał jednak tak znacznej liczby ofiar, jak w pierwszej chwili sądzono. Rzeczywista liczba zabitych wynosi *czterdzieści dziewięć osób*, rannych zaś ciężko i lekko razem *sto pięćdziesiąt*. Widok toru kolejowego przed dworcem Vincennes był nie do opisania. Niéma słów, któreby mogły wyrazić to, na co patrzyły oczy nasze po tym straszliwym wypadku, wewnątrz tych wagonów, porozbijanych, pokruszonych na drobne deszczułki i drzazgi. Była-to jakaś massa czarna, krwawa, okropna—wyciągano zpośród tych zdruzgotanych szczątków, trupy i rannych, obdartych z odzieży, przez gwałtowność z jaką ich porwała katastrofa. Strzępy tego odzienia, przylepione do skrwawionego ciała, wisiały w łachmanach, zwalane krwią i błotem. Dodajmy do tego lament żyjących, rozpoznających w tych straszliwych szczątkach drogie im osoby, albo szukających nieobecnych i wołających napróżno, a będziemy mieli — słabe tylko odbicie rzeczywiście piekielnego widoku.

(Dokończenie nastąpi).

Podróżnicy Afrykańscy.

(Dokończenie).

Peters wciąż jeszcze nie wiedział o odjeździe Emina paszy; odpocząwszy jednak w Kapti, na wschodnim brzegu jeziora Baryngo, zdecydował się, zamiast wyruszyć wprost do Wadelai, obejść wokoło na Ugandę, z obawy dostania się w ręce zbuntowanych Arabów, którzy zalewali kraj cały.

Uganda, jeden z najpiękniejszych krajów środkowej Afryki, przedstawiała wiele dogodności dla podróżujących. Łagodnie pochylony spadek gruntu aż do jeziora Wiktoryi Nyanza pokrywały dziewicze lasy, oplecione girlandami olbrzymich lianów i wieńcami różnorodnych pnących się roślin; całe stada małp drobnych przebiegały zielone gęstwiny, gdzie rozlegał się co chwila krzykliwy głos różnobarwnych papug, a lśniące kolibry połyskiwały zdaleka jak drogie kamienie świetnem swem upierzeniem. Nieskończone mnóztwo pstrych, jaskrawo ubarwionych motyli okrywało, niby żywe kwiaty, zielone gałęzie podzwrotnikowych roślin, a wszystko razem tworzyło obraz pełen życia, świetności i blasku, olśniewający w pierwszej chwili, zdumiewający przy bliższem weń wpatrzeniu się. Wschodnią, górzystą część kraju przerzynają wązkie, głębokie doliny, ponad któremi ciemna massa liści tworzy niedostępne dla promieni słońca sklepienie. W samo południe panuje tu cień rozkoszny i cisza przerywana tylko szmerem przejrzystych i chłodnych strumieni.

Missyonarz angielski, Wilson, który w swych licznych podróżach miał sposobność poznać znaczną część naszego planety, twierdzi stanowczo, że nie spotkał nigdzie tylu cudów natury zgromadzonych razem i Stanley powtarza to, wykazując, że w tym prawdziwie czarodziejskim kraju rolnik wieść może idealne życie na łonie szczodrej i pięknej natury, dającej mu szczęście i spokój.

Taki krajobraz odkrył się niespodziewanie przed zdumionemi oczyma wędrowców, zaledwie przekroczyli granicę pagórków, zamykających im do owej chwili, horyzont. Strudzeni długim pochodem i przebytemi walkami, nie śmieli prawie wierzyć własnym oczom.

Tymczasem z przydrożnych domków wybiegają ludzie, wieśniaczki niosą w koszykach zapasy żywności, drób i dzikie ptactwo, zboże, owoce, pieniące się bananowe wino, i ofiarują to podróżnym przy odgłosie fletów i bębna.

Karawana postępuje naprzód, wszędzie zielone gałązki, uśmiechnięte twarze, przyjazne spojrzenia i oznaki pokoju. Nagle nowa niespodzianka: Na czele wspaniałego orszaku zbliża się młodzian w arabskim kostiumie, ciemny kaftan złotem haftowany, czerwony turban na głowie. Na widok białego wodza rzuca się na ziemię i stopy jego całuje; poczem bierze flet do ręki i wydaje z niego ciche, smętne tony. Z tą muzyką staje znowu przed swoim orszakiem i towarzyszy przybyłym.

To poseł Muangi, króla Ugandy, przysłany z prośbą o pomoc do zwycięzcy rozbójniczego plemienia Massai. Pomimo braku linii telegraficznych, jak widzimy, i w Afryce wieści rozchodzą się szybko.

Niedługo jednak nowy i liczniejszy zastęp ukazuje się na drodze. Przy odgłosie bębnów i fletów zbliża się poważnie wysoki starzec w stroju wschodnim, w srebrem wyszywanym kaftanie i wspaniałym dyademie z pereł. Postać wspaniała i imponująca, zwłaszcza w sąsiedztwie dzikich Massajów i rozbójniczych Gallów.

To Kamandżyiro Kauta, stryj panującego monarchy, a ojciec zmarłego króla Mtezy.

Uganda, jedno z najpiękniejszych państw środkowej Afryki, oddawna nawiedzane było przez licznych podróżników i badaczy, a nawet kupców, zpowodu bogactw naturalnych, w jakie obfitują owe strony. Oprócz surowych płodów, zręczni robotnicy tutejsi sprzedawali wyroby gliniane, żelazne i drewniane, a także suknie ze skóry i łyi łyka, zbywane potem przez europejskich kupców, z wielką korzyścią, ludom nie tak wysoko ucywilizowanym.

Bałwochwalstwo jednakże panowało w tym kraju i nawet łagodny król Mteza zabronił rozkrzewiania chrześcijaństwa oraz islamizmu. W r. 1879 angielscy i francuzcy missyonarze otrzymali rozkaz niezwłocznego wydalenia się z granic państwa. Nieposłusznym zagrożono śmiercią. Lecz liczne już wtedy gminy chrześcijańskie oparły się temu rozporządzeniu i tylko mahometanie zmuszeni zostali rzeczywiście opuścić Ugandę.

Taki stan rzeczy trwał do śmierci Mtezy. Wraz ze wstąpieniem na tron Muangi, jego stryjecznego brata, zmieniły się zupełnie stosunki. Młody monarcha, ulegając wpływom Arabów, wznowił prześladowanie chrześcijan w swoim państwie, rozkazał ściąć angielskiego biskupa Hanningtona, a wyznawców Chrystusa palono żywcem na stosie.

Było to w r. 1885. Chrześcijaństwo napozór zostało wytępionem, lecz szerzyło się skrycie i w parę lat potem sam król Muanga został nawrócony przez francuzkich missyonarzy.

Teraz rozpoczęła się zacięta walka dwóch stronnictw religijnych, szeroko rozpowszechnionych już w kraju, walka, której przybycie europejskiej pomocy mogło położyć szybki koniec. Król Muanga zgłaszał się w tym celu do Stanleya i Jacksona, przywódzcy angielskiej expedycyi, ale bezskutecznie. Przybycie Petersa nowe wzbudziło nadzieje.

Dowiedziawszy się tutaj o wyjeździe Emina paszy, wódz nielicznej garstki walecznych postanowił w inny sposób spożytkować dla dobra ludzkości powierzone mu siły. Chodziło teraz głównie o to, aby kosztowna i trudna wyprawa nie była daremną gonitwą za cieniem, bezcelowem szafowaniem krwią ludzką.

Wojna religijno-domowa w Ugandzie do owego czasu ze zmiennem szczęściem była prowadzona, przewaga jednak znajdowała się po stronie muzułmanów. Ich wódz, Karema, przebiegał kraj cały, burząc wioski i świątynie, mordując chrześcijan, którzy coraz bardziej skupiali się koło jeziora. Naraz wieść o przybyciu wyprawy europejskiej rzuciła postrach między zbrojne tłumy mahometan: Karema cofnął się szybko ku stepom, dwór zajął znowu stolicę, a mieszkańcy powrócili do chat opuszczonych. Rzeczywiste siły Petersa nie były wprawdzie wystarczającemi do przywrócenia pokoju, lecz powiększano je w opowiadaniach, a przytem można było przypuszczać, że na jego wezwanie wkrótce nowe przybędą posiłki.

Tymczasem z wrodzoną sobie energią, taktem i zręcznością rozpoczął Peters układy z monarchą. Za pośrednictwem katolickiego biskupa skłonił on króla do zawarcia uroczyście ze stron obu zaprzysiężonej umowy, na mocy której Muanga otwierał kraj swój dla wszystkich Europejczyków bez różnicy wyznania i narodowości, zobowiązywał się wspierać wyprawy naukowe, dozwalał wolnego handlu i znosił niewolnictwo.

Punkta te zapewniły w przyszłości bezwarunkową przewagę chrześcijaństwu i usuwały wpływ islamu, o ile można było za pomocą dróg pokojowych. Nie wahał się jednak Peters na dowód przyjaźni i życzliwości dla gościnnego monarchy, dać mu zbrojnej pomocy w wyprawie przeciwko Arabom, którzy zajmowali zachodnie prowincye i tamowali handlowe stosunki z sąsiedniemi ludami murzyńskiemi. Na czele 30 uzbrojonych łodzi sam wyruszył przeciw buntownikom, a na ten widok nietylko Arabowie, lecz i sprzymierzeniec ich, sułtan Metembory, ratował się szybką ucieczką, tak, iż bez krwi rozlewu chrześcijański monarcha odzyskał władzę nad swem państwem.

Po miesiącu pobytu w Uganda opuścił wreszcie Peters ten kraj gościnny, szczęśliwy i piękny

pozostawiając przyjacielowi swemu w upominku 150 fun. prochu, a dar ten przyjęty był z oznakami żywego uradowania. Liczne łodzie i przyboczna straż królewska odprowadziły go aż do południowych granic jeziora Wiktoryi, gdzie pożegnano Europejczyków z żalem i przyjaźnie, zaopatrzywszy karawanę w żywność i wszystko, co co jej potrzebnem być mogło.

Nie skończyły się jednak na tem niebezpieczeństwa i trudy pomyślnej mimo wszystko wyprawy. Niejednę jeszcze krwawą walkę stoczono po drodze, niejednę zasadzkę przebyto. W kraju Uagogo zbrojne zastępy krajowców kilkakrotnie tamowały im drogę. Po odniesionem zwycięztwie nad królem Makenge, ten ostatni zdradziecko otoczył w nocy podróżników z 1.200 zbrojnych ludzi; został jednakże szczęśliwie odpartym i, straciwszy 50 zabitych i wielu rannych wojowników, ustąpić musiał z placu boju. Tegoż dnia jeszcze upokorzony nadesłał kilkadziesiąt sztuk trzody, jako dań należną zwycięzcy i prosił o wznowienie układów pokojowych.

Ten tryumf miał dla wyprawy niemałe znaczenie; sąsiednie plemię Uanjamuezi wezwało również pomocy szczęśliwego zdobywcy, który znalazł się wkrótce na czele 2.000 ludzi.

W dalszym pochodzie ku wschodnim wybrzeżom spotkał się Peters w Mpuampua z Eminem, który, przeczekawszy w tem miejscu wypadki, z nową gorliwością i energią powrócić pragnął do przerwanej działalności.

— Nie wstydzę się przyznać — pisze Peters — że po wyczerpujących trudach i przejściach ostatnich kilku miesięcy byłem tem spotkaniem głęboko wzruszony i nie wątpię, że toż samo uczucie podzielał ze mną Emin-pasza. Dwa dni przebyliśmy tu razem, rozpatrując skutki i korzyści mojej wyprawy i zakreślając plan dalszych działań i celów politycznych.

Pobyt w Mpuampua jest właściwie ostatnią kartką naszego opowiadania. Droga ztamtąd do Zanzibaru nie przedstawiała już żadnych trudności, a nawet, przeciwnie, była jednym ciągiem serdecznych przyjęć i powitań.

W Zanzibarze spotkał się Peters z byłym przeciwnikiem swoim, angielskim admirałem Fremantle'm, który mu winszował pomyślnego ukończenia trudnej wyprawy.

Jakże błogim być musiał powrót podróżnika do kraju, na ląd starej Europy! Od chwili wylądowania w Neapolu dalsza podróż była już tylko ciągiem przyjemności. Przyjaciele, znajomi, współrodacy ubiegali się o przyjęcie, o chwilkę rozmowy, o uściśnienie ręki. Zapraszano go zewsząd, pisma umieszczały szerokie opisy wyprawy z portretem jej przywódcy, Anglia nawet, pomimo nieprzyjaznego postępowania swoich urzędników, oddała mu zasłużone pochwały.

— Wyprawa dra Petersa — pisano w dziennikach berlińskich — stwierdziła najzupełniej odkrycia Stanleya, co otworzyło niejako wrota ludom białym do serca nieznanej dotąd części świata. Gdyby Afryka była rzeczywiście tem, czem być powinna zawsze: to jest przystanią wolną i otwartą dla każdego, miejscem pracy i działalności cywilizowanych narodów, spokój jej prawdopodobnie nie byłby nigdy zakłóconym. Niestety, polityka inaczej rozporządza losami, zarówno białych jak czarnych pokoleń, i często tłumi szlachetne nasiona, rzucane w grunt dziewiczy dłonią bezinteressownego badacza.

Anglia jako siła działająca w Afryce pierwej, niż Niemcy, powinna z natury rzeczy mieć tu prawo pierwszeństwa. Nie porzuca też ona swej myśli, nie zrzeka się powziętego zamiaru, lecz wytrwale postanawia dążyć do jego urzeczywistnienia. Liczne towarzystwa kolonizacyjne rozpoczynają już działalność, a celem jej: zajęcie odpowiednich punktów na wschodnio-afrykańskich brzegach, założenie odpowiedniej liczby handlowych stacyi i faktoryi i posuwanie się w głąb' kraju wraz ze środkami i ulepszeniami nowoczesnej cywilizacyi, t. j. drogą kolei żelaznych i tym podobnych ułatwień kommunikacyjnych. Póki do przenoszenia towarów używani być muszą tragarze, niepodobna marzyć o rzeczywistym rozwoju handlu z tak bogatemi w skarby i płody naturalne krainami.

Kronika działalności kobiecej.

— Ministeryum oświecenia wydało pozwolenie na otwarcie w Petersburgu kursów hadlowych dla kobiet. Otwarcie nastąpi w miesiącu przyszłym, przedmioty wykładane będą: rachunkowość, korrespondencya handlowa, prawo handlowe i przemysłowe, geografia handlowa, ekonomia polityczna, język niemiecki i francuzki; angielski udzielany będzie za opłatą oddzielną.

— Na dorocznym popisie dwuklassowej szkoły dziewcząt hr. Cecylii Platerówny, który wykazał pożądany pod każdym względem kierunek szkoły i postępy uczennic, zaznaczyła się szczególniej praktyczna strona robót ręcznych. Ściągały na siebie uwagę okazy dobrego szycia, oraz wybornego cerowania bielizny stołowej, cerowania wogóle i naprawiania odzieży. Szkoła ta może być nazwana realną szkołą dziewcząt.

— W okolicach ulicy Chłodnej ma powstać żłobek ufundowany dobroczynnie przez jednę z opiekunek Tow. Dobroczynności, która już obdarowała poprzednio rodziny ludu warszawskiego łaską wzniesienia ochrony. Inna opiekunka Towarzystwa zakłada przy ulicy Czerniakowskiej przytułek dla dziewcząt liczących lat dziesięć wieku. Bóg zapłać za dobroć serca, umiejącego odczuć potrzeby rodzin ubogich.

— Rozdanie wsparć wdowom po zegarmistrzach z zapisu ś. p. Świergockiej, odbyło się d. 13 Sierpnia w biurze Rady Miejskiej Dobroczynności Publicznej.

— Osierocona przez śmierć ojca p. Bronisława Kolsiewiczówna, właścicielka dóbr Chwaliszewo, wypuściła w dzierżawę tę majętność swoję na lat sześć i udała się zagranicę z celem kształcenia się w gospodarstwie rolnem. Przez pierwszych lat kilka była regularną słuchaczką wykładów w wyższej szkole agronomicznej w Karlsruhe, co trwało do 1889 r. Gdy po napisaniu rozprawy na temat: „o uprawie roślin pastewnych" otrzymała godność doktora nauk przyrodniczych, udała się na Szlązk dla praktyki, którą odbyła w dobrach księcia Hohenlohe, słynących z gospodarstwa postępowego. Ostatecznie odbywała praktykę w dobrach hr. Branickiego w Kijowskiem, obecnie zaś po upływie czasu dzierżawy objęła d. 1 Lipca r. b. zarząd dziedzicznej swej majętności, aby prowadzić go osobiście.

— P. Cecylia z Wołowskich Gładkowska, pisząca pod pseudonimem „Morosz" otrzymała na konkursie *Ziarna* nagrodę w summie 100 rs. za powiastkę pod tytułem: „Noblesse oblige".

— P. Paradowska (Paulina Moers) otrzymała za powieść drukowaną świeżo w „Revue des deux monde", „Mademoiselle Micia" od Akademii Francuzkiej nagrodę w summie 2.000 franków.

— Obok Anny Bilińskiej, której sąd znawców wystawy berlińskiej przyznał złoty medal (mały), otrzymały wzmianki zaszczytne malarki: Lucya Lee Robinson amerykanka, Anna Aucher dunka, Anna Alma Tadema angielka, Marya Müler Niemka z Wiednia, Elżbieta Lüderitz z Berlina, Dora Hitz z Drezna, Konstancya Strecker z Monachium, Antonina Bannelos hiszpanka.

— Uznanie, jakiem cieszy się w całych Niemczech zacna filantropka, Lina Morgenstern, jest takiem, że wielka księżna badeńska Ludwika przysłała jej za pośrednictwem swego sekretarza roczne sprawozdanie z działalności zakładu, któremu przewodniczy: „Marthenheim". Jest to dom schronienia dla kobiet, wdów, lub panien, posiadających niewielkie środki utrzymania, albo żyjących z pracy własnej. Za bardzo umiarkowaną opłatą znajdują tam obok mieszkania stół, w razie zasłabnięcia lekarza i aptekę bezpłatną, wreszcie bibliotekę i czytelnią pism peryodycznych. Oprócz mieszkanek stałych, płacących miesięcznie od 40 — 50 marek, zakład przyjmuje pensyonarki na przebywanie czasowe, pobierając od nich dziennie w oddziale I-ym półtorej marki, w oddziale II-gim jednę markę za stół, mieszkanie i usługę. Prócz tego zakład przyjmuje dziewczęta na naukę gospodarstwa domowego i robót kobiecych za opłatą 70 fenigów dziennie, za co oprócz nauki otrzymują i stół.

JUSTYNÓWKA

OBRAZEK Z ŻYCIA LETNICH MIESZKAŃCÓW W MROZACH

przez

BOGUMIŁA HOFFA.

(Dalszy ciąg)

— I zostawił was w biedzie?

— On nam zostawił chałupkę z ogródkiem we wsi, ale spaliliśmy się i nic nam nie zostało.

— Ale teraz macie utrzymanie, skoro Janek jest gajowym.

— Mamy, prawda, — ale to dopiero od tej wiosny. A przedtem mieliśmy biedę wielką.

— Janku, czy nie dbałeś o matkę — nie mogłeś tyle zarobić, abyście żyć mogli?

Janek, trochę zakłopotany, nie odpowiedział zaraz. Weronika odezwała się za niego:

— Pracował on, ile mógł. Chodził do lasu rąbać drzewo, chodził do dworu na robotę, ale zapłata była mała, a życie drogie.

— Dlatego też Janek zapewne nie mógł chodzić do szkoły?

— A bo nie było czasu; ojciec uczył go trochę, a gdyby nie odumarli, byliby go wykierowali na ekonoma albo kolejnika. Ale i tak, jeszcze Bogu dzięki, że został gajowym.

— Czy Janek was też kocha, matko?

— Niéma lepszego syna, jak mój Janek. On odjąłby sobie od gęby, aby mnie tylko dogodzić Dobre dziecko! Ale cóż, kiedy mu trzeba już gospodyni do gospodarstwa....

— Czemu się nie żeni? — I Justynka spojrzała na Jana. On zarumienił się i spuścił oczy.

— Spytajcie się, panienko, jego samego,—ciągnęła dalej Weronika. — Mógł się żenić, i to bogato — ale cóż, kiedy nie chciał.

— Dlaczego? — pytała się Justyna rozciekawiona — może była stara, brzydka?

— O, nie — odpowiedziała Weronika.

Janek wyszedł z pokoju.

— Więc dla czego?

— Widzi panienka — on też miał i racyą, bo bo cóż po takiej gospodyni, która godności nie ma.

— Jak to rozumieć?

Stara wyjrzała przez okno, a widząc, że Janek oddalił się od domu — mówiła dalej przyciszonym głosem:

— O, było to tak. Była we wsi, niedaleko dworu, młoda urodziwa córka gospodarza, jedynaczka. Jak to zwykle bywa z ładnemi dziewczętami, złe towarzystwo tak ją zbałamuciło, że z niej nic dobrego nie było. Aby tę hańbę trochę ukryć, ojciec jej chciał ją oddać Jankowi wraz z całem gospodarstwem.

— A Jan nie chciał?

— Nie chciał — choć ją chętnie dawniej widywał.

— Dobrze zrobił Janek. Nie miejcie mu tego za złe. Widać, że uczciwy.

— Prawda: nie gniewam się też na niego — ale byłoby nam lepiej, gdyby...

— Nie myślcie już o tem, matko: dostanie on jeszcze żonę, dobrą i uczciwą.

— Dałby to Bóg.

Justyna wstała i wyjęła z koszyczka rozmaite wiktuały, jak kawę paloną, cukier, parę cytryn, trochę likieru, i oddała to Weronice, mówiąc:

— Weźcie, matko, tę odrobinę kawy i ugotujcie sobie dzisiaj przy Niedzieli i, abyście nie żałowali tak bardzo tej partyi niedoszłej waszego syna, — schowajcie sobie to na wypadek naglący. I Justynka wcisnęła jej do ręki banknot zwinięty.

— Nie, panienko — to zawiele — tego przyjąć nie mogę!—i wyciągnęła rękę, aby oddać pieniądze.

Justynka ucałowała Weronikę i, nie biorąc pieniędzy, zabierała się do wyjścia.

Stara matka Jana rozpłakała się i dziękowała szlochającym głosem.

— Do widzenia, matko! — zawołała Justyna, i wyszła z domu.

Przed domem oglądała się, szukając oczyma Jana. Po chwili zbliżył się z urąbanem drzewem.

— Janie, masz trochę czasu?

— Mam, panienko.

— Odprowadzisz mnie do domu?

— Dobrze, zaraz panienko, tylko zaniosę drzewo do izby, aby matka miała przy czem ugotować obiad.

— Więc pójdę trochę naprzód. I Justynka zeszła z pagórka na drogę, wiodącą do lasu.

Niebawem i Janek wyszedł z chałupy i pośpieszył za nią, a porywając jej rękę, przycisnął wzruszony do ust.

— Co też panienka zrobiła?

— Nic, nic, Janku — chodźmy, prowadź mnie najbliższą drogą do naszego domu — bo już bardzo późno, a matka czeka zapewne na mnie niecierpliwie.

Ale Janek nie mógł się uspokoić.

— Nie możemy przyjąć...

— Ale nie było to dla ciebie — tylko dla matki. Chodźmy prędzej.

I pobiegła naprzód.

Janek postąpił za nią w milczeniu.

Tak szli dłuższy czas, każde zajęte swemi myślami.

Wiewiórka przeleciała przez drogę i patrząc się ciekawie na przechodzących, wskoczyła na najbliższy dąb.

— O, wiewiórka, — Janie, patrz, wiewiórka. Złap mi, ją Janie. Takie ładne stworzonko!

— To nie tak łatwo, złapać—odezwał się Jan, — ale dla panienki wybiorę młodą z gniazda i oswoję.

— Ach, wielką zrobiłbyś mi uciechę.

— Daleko jeszcze do Mrozów?

— Niedaleko. Wyjdziemy tędy na drogę kuflewską, a ztamtąd albo przez lasy, około tego miejsca, gdzie panienka wczoraj czytała, albo przez stacyą i drogą przez wieś.

— Proszę cię, czy droga przez lasy daleko od tego miejsca, gdzie wczoraj czytałam?

— Nie bardzo z drogi.

— Dobrze, to pójdziemy tamtędy.

Znowu szli w milczeniu, aż do brzegu lasu nad szeroką drogą ku stacyi.

Janek prowadził Justynę przez gęsty las drzew liściastych.

Świeża zieloność, prawie wiosenna, grabów i dębów, przerwana była gdzieniegdzie ciemnozieloną barwą iglastych olbrzymów: sosen i świerków.

Pogoda sprzyjała wędrowcom najzupełniej. Wietrzyk łagodził działanie promieni słońca, a w lesie, skutkiem poprzedniego deszczu, powietrze było dosyć chłodne, tak, że Justynka wcale się nie zmęczyła.

Janek się zatrzymał.

— Czy to tu? — zapytała jego towarzyszka.

— Panienka nie poznaje?

— Prawda, to tu, choć dzisiaj wygląda o wiele inaczej. Zawsze jest to śliczne miejsce. Gdyby tu stały ławeczki, albo przynajmniej kanapki z darni, albo mchu, to-by tu było jak w parku wspaniałym. Świerk, tak jak olbrzymi parasol, zasłania od słońca i od deszczu. Skoro wiem, że to miejsce wcale nie tak oddalone od Mrozów, będę tu przychodzić często. A teraz śpieszmy do domu.

Szli dalej, a Janek, wskazując przewrócone drzewo i wyrwane razem z ziemią jego korzenie, powiedział:

— Tu, w ten dół, panienka wczoraj wpadła.

— Tutaj — ależ to był dół głęboki.

— Zdawało się tylko panience.

Poszli dalej. Po krótkiem milczeniu Justyna odezwała się:

— Wiesz, jak sobie wszystko przypominam, to mi wcale wierzyć się nie chce, co się wczoraj zemną działo. Wszystko było takie tajemnicze — takie straszne — a ty zdawałeś mi się być istotą z innego świata. Zdawało mi się, że anioł stróż podaje mi rękę zbawienia. Może i Bóg chciał, ażebyśmy się tu spotkali. W każdym razie chcę tobie i matce twojej być użyteczną. Jedno tylko jest dla mnie tajemnicą: zkąd się wziąłeś właśnie w chwili, kiedy położenie moje już było najgorsze, bez wyjścia?

— Czy mam panience powiedzieć prawdę?

— Proszę cię — ciekawa jestem.

— Już od kilku dni widziałem panienkę tu w lesie, ukrywałem się i patrzałem na panienkę. A wczoraj wieczór spostrzegłem znowuż panienkę z książką w ręku, idącą przez lasy; a byłem ciekaw, dokąd panienka sama jedna chodzi bez obawy. Przez cały czas, kiedy panienka siedziała na ziemi pod świerkiem, siedziałem i ja niedaleko.

— Dlaczego?

— Sam nie wiem, dlaczego — tak sobie.

— Ale musiałeś mieć powód? Może chciałeś mnie wypędzić z lasu z rozkazu twojej pani?

— Ale gdzie tam! — tak tylko z ciekawości.

— Bądź jak bądź — w każdym razie byłeś moim stróżem wybawcą i zasłużyłeś na moję wdzięczność. A gdzie bagno, przez które przenosiłeś mnie wczoraj?

— My idziemy dzisiaj inną drogą, przez mostek.

Znowu szli dalej raźno.

— Widzi panienka, tu jest droga z lasu—a tam most.

Przeszli przez most. Justynka zatrzymała się chwilę.

— A gdzie teraz?

— Prosto przez łąkę, potem przez plant, a następnie naprawo.

— Dziękuję ci, mój Janie — trafię teraz już sama do domu, a ty wróć do matki.

— Mogę odprowadzić panienkę aż do domu.

— Nie trzeba. Dziękuję ci serdecznie, sprawiłeś mi dzisiaj wielką przyjemność. Kiedy zaczniemy naszę naukę?

— Proszę panienki, to byłoby zawiele. Nie mogę tego wymagać!

— Nie wymawiaj się — bo nauka to wielkie dobrodziejstwo, wielka dla człowieka pomoc w życiu. Pewno zajęty jesteś cały dzień?

— Cały dzień muszę być w lesie.

— A wieczorem.

— Chyba wieczorem.

— Więc jutro wieczorem zaczynamy. Przyjdź do nas. Ale napewno przyjdziesz?

— Jak panienka chce — to i przyjdę.

— Więc do widzenia. Bądź zdrów!

Podała Janowi rękę, którą on pocałował, i wracał już powoli do lasu, oglądając się często za odchodzącą, aż go skryła drzew gęstwina.

Justynka doszła do domu.

III.

Tegosamego dnia po obiedzie pani Hubertowa, jak zwykle, siedziała pod werendą przed domem.

Justynka opisała jej całą wycieczkę ranną, prosząc matkę, aby sprowadziła doktora i pozwoliła z nim odwiedzić chorą Weronikę.

Matka słuchała z zajęciem opowiadania córki, zadowolona, że bawi tak dobrze się pieszczoszka. Napominała ją, ażeby tylko strzegła się wypadku na wodzie, nie męczyła się zanadto i unikała wężów.

Justynka przeczytała p. Hubertowej listy, przywiezione z Warszawy — i korzystając z dobrego nastroju, w jaki wprawiły matkę wiadomości otrzymane od osób miłych i o rzeczach zajmujących, odezwała się:

— Kochana mamo, chodźmy dziś do lasu — obie, to tak blizko, tylko parę kroków, tylko tutaj, na sam brzeg.

Matka nie miała ochoty, wymawiała się brakiem sił do takich wędrówek, lecz w końcu uległa prośbom i pieszczotom córki: wybrała się w drogę.

Prowadzona pod rękę przez Justynkę, wolnym bardzo krokiem postępowała naprzód. Zabrały ze sobą i Kasię obładowaną kobiercami, poduszkami, parasolami i koszykiem pełnym rozmaitych posiłków i orzeźwień.

Panie zeszły ścieżką naprzeciwko stawu a po krótkim odpoczynku na podkładach ułożonych wzdłuż toru kolejowego, przeszły około młyna i obrały sobie miejsce w lesie niedaleko brzegu. Usiadły pod cienistemi olbrzymami lasu, u podnóża dosyć wysokiego pagórka.

Widok zachwycił panią Hubertową.

Zpoza drzew i krzaków, wydobywając się niby z ciemnej gąszczy lasu, wychyla się staw z fantastycznemi brzegami, za nim mała łączka, a nad nią linia prosta kolei żelaznej rozcina cały krajobraz na dwie połowy.

Nad koleją wznoszą się przeciwległe pagórki; niżej pas łąk i pól, nieco wyżej ogrody zielone a wśród nich mieszkania.

Nad niemi znowu pola, poprzeplatane drzewami pojedyńczemi i krzakami, pokrywają najwyższe grzbiety pagórków.

Pogoda najzupełniejsza przyczyniała się głównie do upiększenia już i tak z natury pięknego krajobrazu.

Samotność obu kobiet nie trwała długo.

Las zwolna się ożywił. W rozmaitych miejscach, bliżej i dalej, grona letników rozsiadały się na ziemi a gwarem i wesołością ściągały na siebie uwagę naszych pań.

W niektórych kółkach młodzież zabawiała się w gry towarzyskie, w innych znowu czytano na głos. Dzieci było mnóztwo, zacząwszy od najmniejszych, w wózkach ręcznych, aż do uczniów gymnazyalnych, realnych i technicznych, aż do szczebiocących, piskliwych, ale przytem wdzięcznych, podlotków.

Droga w lesie ożywiała się coraz bardziej. Jedni udawali się na dalsze przechadzki, inni wracali już z nich.

I powierzchnia stawu, dotychczas gładka jak zwierciadło, poruszyła się i ożywiła, bo w łódce dwie panienki biało ubrane dały się wozić po stawie.

Dwóch młodzików—zapewne nie należących do grona czynnych członków Towarzystwa wioślarskiego, dosyć niezręcznie kierowało łódką. Tłomaczyły ich w części ciężkie arcy-niezgrabne wiosła. Lecz ani wiosła, ani wiosłowanie nie odejmował przyjemności tej żegludze zaimprowizowanej na poczekaniu.

Już słońce chyliło się ku zachodowi a cienie padały na ziemię coraz dłuższe i czarniejsze. Jedni po drugich opuszczali miejsca zabawy dla posiłku i wypoczynku w domu.

I pani Hubertowa przypomniała córce, że już czas do powrotu, ale Justynka prosiła, aby jeszcze trochę pozostać.

Czy czekała na kogo?

Zdaje się, bo oglądała się często i była jakoś bez humoru.

Na wyraźne życzenie matki, aby się udać do domu, bo powietrze chłodne i już późno, dziewczę wstało wprawdzie, lecz opuszczało las z widoczną niechęcią. Oglądała się ciągle. Ledwie wróciły do domu, puścił się drobny ale gęsty deszczyk — i z werendy pozapędzał wszystkich do łóżek.

Następny dzień był dżdżysty i chłodny. Justyna zajęła się pisaniem listów i czytaniem.

Wieczorem odezwała się do matki:

— Zapewnie przyjdzie Jan. A wiesz, mamo, że mu obiecałam nauczyć go czytać i pisać?

— Poświęcasz się, moja Tyńciu.

— Eh, co to za poświęcenie! Czemżeż mogłabym się godniej wywdzięczyć, jeśli nie pracą, tak łatwą, tak nic nie kosztującą, nad tem, aby mu

umysł oświecić! Kto wie, czy mu to nie posłuży do poprawienia sobie losu...

— Może być. Ale może też stać się i przyczyną złego, które mu los pogorszy. Dziś zajmuje stanowisko odpowiednie swojemu usposobieniu i wykształceniu, a jeżeli zakosztuje lepszego życia, przywyknie do towarzystwa intelligentnego, — będzie już niezadowolonym z tego, co ma i...

— I znajdzie sobie coś lepszego, odpowiedniejszego — podchwyciła Justyna.

— Nie tak to łatwo, moja Tyńciu.

— W każdym razie nauka czytania i pisania nigdy mu nie zaszkodzi.

— Nie mam nic przeciwko twoim dobrym chęciom; powstają one ze szlachetnych uczuć. Cieszyłabym się z tego, gdyby nie obawa...

— Jaka?

— „Obawa“—może zawiele, ale ci powiem, że zostaję pod niemiłem wrażeniem snu, który miałam wczoraj.

— Cóż to za sen?

— No, sen niemiły. Co ci po szczegółach?

— Moja mamo kochana, powiedz mi. Więc śniło ci się coś złego?

— Złe w snach nie jest złem w rzeczywistości.

— Ale bywa czasem jej przepowiednią taka już natura ludzka, — a my kobiety w sny wierzyć nigdy nie przestaniemy. Sama przyznałaś, kochana matko, że ci ten sen niemiłe zostawił wrażenie. Cóż tam było? Mów, droga mamo.

— Kiedy chcesz tak koniecznie...

— Proszę, bardzo proszę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Petersburscy fabrykanci i właściciele zakładów fabrycznych opracowali projekt zmian, które należałoby wprowadzić do obowiązujących obecnie przepisów o pracy fabrycznej. Referat, opracowany przez specyalną delegacyą, został złożony Towarzystwu popierania przemysłu i handlu z celem przedstawienia go ministrowi skarbu.

— Wydział ministeryum skarbu do spraw kolei żelaznych ma wkrótce wydać zbiór praw wszystkich państw europejskich, odnoszących się do handlu zbożowego, oraz przyjętych w nim zwyczajów.

— Na międzynarodowej wystawie sztuki w Londynie przyznano dyplom honorowy Romanowi Kochanowskiemu za krajobraz naszych okolic.

— Maurycy Moszkowski napisał operę pod tytułem „Boabdil“. Nabył ją na własność teatr opery królewskiej w Berlinie.

— Dyrektor *Narodniho Divadla* w Pradze otrzymał list następujący od Modrzejowskiej, jadącej do Ameryki: — „Przesyłam ostatnie pożegnanie; do zobaczenia się w Pradze: Powrócę za rok. Pozdrawiam pana i dziękuję, równie jak i wszystkim dobrym przyjaciołom w Pradze, za łaskawą gościnność i gorące przyjęcie, jakiego od was doznałam. Piszę na pokładzie okrętu, naprzeciwko Southampton“.

— Konkurs na napisanie sztuki scenicznej z powodu otwarcia nowego teatru w Krakowie przedłużony został do d. 1-go Lipca 1892 roku. Nagroda wyznaczona 500 zł. reń.: warunkiem tu jest, aby utwor osnuty na tle dziejowem mógł być grany na wszystkich scenach. W skład sądu konkursowego wchodzą p. p. Asnyk Adam, Cieszkowski Zygmunt, Estreicher Karol, Kotarbiński Józef, Koźmian Stanisław, Lubicz Apollon, Małecki Antoni, Michałowski Ludwik, Przezdziecki Konstanty, Sienkiewicz Henryk, Sokołowski August, Wołodkowicz Bolesław. Utwory nadsyłane powinny być pisane wyraźnie i zaopatrzone godłem. Adres do nadsyłania: „D-r Estreicher, dyrektor biblioteki jagiellońskiej w Krakowie“.

— Malarze, rzeźbiarze i architekci krakowscy wydali odezwę do wszystkich artystów, wzywając do zawiązania towarzystwa, popierającego sztukę rodzimą zagranicą. Członkami komitetu, mającego opracować statut stowarzyszenia, są: Kossak Juliusz i Kossak Wojciech, Rygier Teodor, Piotrowski Antoni, Tetmayer, Błotnicki, oraz architekci: Zawiejski, Zaręba i Tetowski. Statut ma wykazać, iż celem jest reprezentowanie i interessa sztuki naszej zagranicą. Członkami rzeczywistymi mogą być tylko ci, których komitet przyjmie do grona stowarzyszonych. Fundusze Towarzystwa stanowią wkłady członków rzeczywistych i wpływy ze sprzedaży akcyi członków zwyczajnych. Część dochodów Towarzystwa przeznacza się na fundusz żelazny, reszta idzie na zakup dzieł sztuki do rozlosowania między akcyonaryuszów i na wydawanie corocznych nagród. Kapitał żelazny może być użytym jedynie na budowę gmachu własnego Towarzystwa; skoro dojdzie do 100.000 zł. reńskich przestanie się powiększać i przeznaczona część dochodu rozdzielaną będzie między członków jako tantyema.

— Zmarły filantrop, Tytus Kielanowski, zapisał ostatnią swoją wolą 60.000 zł. reń. na zakład chorych nieuleczalnych we Lwowie. Fundacya ta ma wejść w wykonanie dopiero po zgonie żony testatora, Anieli Kielanowskiej w sposób taki, aby procenta roczne po pięć od sta wpływały, albo na zakład chorych nieuleczalnych, albo na jego wzniesienie, jeżeliby zamiar taki istniał i starania w danym kierunku czynione były. Gdyby tak nie było, to aż do czasu powstania zamiarów i usiłowań wymienionych procenta od zapisanej summy iść mają na chorych nieuleczalnych, zostających pod opieką Sióstr Miłosierdzia w ich zakładzie, albo w zakładzie księdza Gorazdowskiego. Fundacya ta została oddana przez testatora pod opiekę Wydziału Krajowego Galicyi i Lodomeryi wraz z W. Księztwem Krakowskiem. Obecnie wybudowanie gmachu na zakład chorych nieuleczalnych zajmuje czynnie Radę Miejską Lwowa i zapisy poczynione na rzecz tego zakładu wynoszą blizko 500.000.

— Związek architektów i inżenierów w Pradze zaprosił krakowskie Towarzystwo Techniczne na wystawę prazką. Wycieczka Koła Literacko artystycznego krakowskiego i lwowskiego wyruszyła tamże d. 13-go Sierpnia.

— Zwiedzenia wystawy w Pradze przez dzieci czeskie z całego kraju jest jednym z tych szczęśliwych pomysłów, które sprowadziła za sobą wystawa. Pierwszą taką wycieczką zbiorową dzieci było przybycie małoletniej ludności czeskiej zamieszkującej Wiedeń. Na przedmieściu wiedeńskiem *Favoritten* istnieje ludowa szkoła czeska, utrzymywana kosztem czeskiej Maticy szkolnej.

Za przykładem tej szkoły, poszły szkoły z północnej części Czech, gdzie wpływy germanizacyjne czuć się dają. Zwożą też zdaleka dziatwę czeską do Pragi, a jednocześnie każda niemal szkoła ludowa z blizkich i dalszych okolic wyprawia swoich chłopców i dziewczątka pod przewodnictwem nauczycieli i rodziców. Koleje zniżają cenę przewozu tych małoletnich gosci i po kilkaset dzieci jedzie nieustannie z różnych stron Czech i Morawii. W Pradze potworzyły się komitety dla przyjmowania i opiekowania się temi młodziutkiemi podróżnikami, a dodać należy, że zjazd dzieci przypadł jednocześnie ze zjazdem nauczycieli, których 5.000 przybyło do Pragi. Wytworzył się też komitet, który urządził jednocześnie specyalną, a dodać trzeba: prześliczną, wystawę kwiatów i ogrodowizn pielęgnowanych przez dzieci, i przedstawia to niewypowiedzianie wdzięczny widok, gdy małoletni wystawcy, wśrod których jest szczególniej mnóztwo dziewcząt, znoszą i zwożą ze sobą doniczki wypielęgnowanych przez siebie roślin i kwiatów. Czescy pedagogowie zrozumieli, że, budząc w młodzi dobre, estetyczne zamiłowania, broni się przystępu złym natchnieniom. Obok dzieci szkółek elementarnych urządzane są wycieczki uczniów szkół średnich, a obok tego wszyscy rzemieślnicy Pragi i innych miast zwalniają na dni parę terminatorów swoich i dają im jeszcze „na prazdno“, wysyłając na zwiedzenie wystawy. Korzyści, jakie ztąd płyną nietylko pod względem technicznym, są łatwe do zrozumienia. Dziecko już poczyna rozumieć znaczenie pracy, gdy ją widzi przedstawioną sobie zbiorowo.

— Paryzkie stowarzyszenie międzynarodowe literatów i artystów: „Association littéraire et artistique internationale“ postanowiło, żeby kongres w roku bieżącym odbył się w Berlinie, na zasadzie, że literatura i sztuka nie powinny brać udziału w zatargach politycznych. Wskutek tych poglądów stowarzyszenia postanowiono przyjąć między członków honorowych Freytaga, Bodenstedta i Heysego; przecież przeważna większość stowarzyszonych Francuzów nie chciała podzielić poglądów zarządu. Przykład wyszedł tu od malarzy francuzkich, którzy nie zjawili się na wystawie berlińskiej; ale opór w stowarzyszeniu literackiem zakłócił stosunki i literaci niemieccy postanowili wycofać się gromadnie ze stowarzyszenia. Kongressu w roku bieżącym wcale nie będzie.

— Na zasadzie sądu biegłych wystawy berlińskiej cesarz niemiecki udzielił 19 złotych, 73 srebrne medali; w liście nagrodzonych zajdą podobno zmiany i uzupełnienia. Ruch sprzedaży w oddziale naszym niewielki, sprzedano akwarelle Fałata, Piątkowskiego „Zwiastowanie“, oraz inne obrazy: Kurelli, Wodzińskiego, Wojciecha Kossaka, Siemiradzkiego.

— Bracia Reszke udali się do Ameryki. Jan Reszke otrzyma za 40 przedstawień po ośm na miesiąc, 200.000 franków — i jeżeli przedstawienie przyniesie więcej nad 30.000 franków, dostanie dwudziesty procent z wpływów. Edward Reszke za 40 przedstawień dostanie 100.000 franków i dziesiąty procent od przewyżki 30.000 franków wpływu. Śpiewać będą w Chicago i w Nowym Yorku. Repertoar obejmuje: Proroka, Hugonotów, Carmen, Afrykankę, Fausta, Aidę, Romeo i Julią, Lohengrina.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 5-ty i 6-ty powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: **Pogawędka.** — **Garbuska.** Powieść, przez Michała Bałuckiego (dalszy ciąg). — **Nowiny Paryzkie.** — **Podróżnicy Afrykańscy** (dokończenie). — **Kronika działalności kobiecej.** — **Justynówka**, obrazek z życia letnich mieszkańców w Mrozach, przez Bogumiła Hofta (dalszy ciąg). — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty i 6-ty powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 30 wzorow ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny **Michał Glücksberg**

Дозволено Цензурою. — Варшава, 14 Августа 1891 г.